

ROZMOWA ZE STANISŁAWEM KOTOWSKIM

Niepodległość w nazwie

Ze Stanisławem Kotowskim – współ-założycielem pisma „Niepodległość”, działaczem Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” rozmawia Łukasz Perzyna.

– Słowo „Niepodległość” stało się tytułem pisma w 1982 r. i znalazło w nazwie ugrupowania parę lat później. Wprawdzie już w 1979 r. powołano Konfederację Polski Niepodległej, a wcześniej działało Polskie Porozumienie Niepodległościowe – jednak nawet po delegalizacji Solidarności pojawiały się w opozycji tendencje, by wszystkich celów nie ujawniać, nie prowokować Leonida Breżniewa i kolejnych radzieckich przywódców. Jak to się stało, że Wy postapiliście inaczej, maksymalistyczny postulat czyniąc od razu tytułem pisma, a potem nazwą partii?

– Odpowiedzi szukać można w ciekawej historii naszego środowiska. Początki naszej grupy sięgają grudnia 1976 r, a więc to tradycja parę lat starsza niż Solidarności. Rozmawiamy o czasach, gdy formowała się opozycja. Komitet Obrony Robotników powstał we wrześniu 1976 r. A jednym ze współpracowników KOR był Jurek Targalski. Spotkałem się z nim na zimowym obozie studenckim. Trochę dziwna to historia, bo byłem wtedy na Politechnice, a trafiłem na obóz dla studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Nie zapowiadaliśmy się wtedy na zawodowych rewolucjonistów. Interesowały mnie piękne dziewczyny i ciekawe dyskusje. Na obozie uniwersyteckim jednych ani drugich nie brakowało. Studiowałem inżynierię lądową. Mój ojciec to akowiec z Pawiakiem i Powstaniem Warszawskim w życiorysie, byłem dumny z jego

chwalebnej przeszłości wojennej. Po wojnie pracował jako inżynier, dobrze mu się wiodło, a ja byłem jedyńkiem, takim złotym chłopcem. W bliskiej rodzinie wszyscy byli bezpartyjni. Komuna do wnętrza domu nie weszła. Do wielu polskich domów wtedy nie miała wstępu. Dla mnie niezmiernie ważna pozostawała tradycja dziadka – legionisty, pepesiaka. Oficjalne organizacje nie stwarzały żadnej szansy wymiany poglądów. W naturalny sposób szukałem więc myślących podobnie osób do dyskusji i rozmowy. Okazja się nadarzyła, zanim dotarłem na ten uniwersytecki obóz. Pogoda była zimowa, fatalna. Obóz odbywał się w Jarosławcu nad morzem, ale jadąc tam – z powodu fatalnych warunków utknęliśmy w Lęborku wraz z Targalskim. I tak światy Uniwersytetu i Politechniki się integrowały. Gdy jechać dalej się po prostu nie dało, siedzieliśmy w pokoju hotelowym przy piwku, rzadziej jakiejś wódeczce. Wyglądało to w ten sposób, że głównie Targalski pytał, a ja odpowiadałem. On szukał takich, co podobnie myślą, a ja... mówiłem, co myślałem.

– I można powiedzieć że spotkaliście się w pół drogi?

– Już w trakcie pobytu na obozie w kolejnej rozmowie Targalski spytał mnie: - Czy słyszałeś o KOR-ze? – Nie – odpowiedziałem szczerze. Wtedy w tym Jarosławcu dał mi pierwszą bibułę, pierwsze nielegalne wydawnictwa. Historycznie wyrobiony i odczytany wywarł na mnie wrażenie konkretnego faceta. Zapoczątkowało to naszą wieloletnią współpracę. Zwłaszcza, że daleko do siebie nie mieliśmy: Targalski mieszkał wtedy na Broniewskiego, zaś ja na Jasnodworskiej na Powązkach. To raptem 15 minut na piechotę.

– Jak już się spotkaliście, to byliście prawie skazani na współpracę; niemal sąsiedzi o podobnych zapachach?

– Zabawne, ale dopiero po dłuższej rozmowie przypomnieliśmy sobie, że nasze drogi przecinały się już wcześniej. W olimpiadzie wiedzy politycznej drużyna Targalskiego pobiła moją ekipę. Stanowiło to kolejny dowód, jak zbieżne mamy zainteresowania. Po powrocie z obozu Targalski wziął się na serio za kolportaż komunikatów KOR-u i przy tej okazji wpadł pierwszy raz. Pojechał bowiem z bibułą do Gorzowa i tam go zamknęli. Był wtedy członkiem PZPR, więc jakoś się z tej sprawy wyslizgał, ale od tego momentu pozostawał na celowniku Służby Bezpieczeństwa. Zaczął przynosić mi coraz okazalszą literaturę. Nie tylko komunikaty KOR, ale trzy tomy „Archipelagu Gułag” Aleksandra

Sołżenicyna w wydaniu paryskim. Zaś karierę opozycyjną zacząłem od tego, co mi zaproponowano – zrobienia mikrofilmu z kilku wydawnictw paryskiej „Kultury” z 1977 r.

– **Dlaczego akurat od tego?**

– Miałem wtedy własną ciemnię, dobrze wyposażoną, interesowałem się fotografią i znałem się na niej, więc taka propozycja była naturalna. Wkrótce Targalski wciągnął mnie do budowanych przez siebie struktur – właśnie do kolportażu Głosu. Jurek też polecił mnie Krzyskowi Łazarskiemu, który zajmował się techniką w Głosie. Warto pamiętać, że ponieważ mój ojciec był znakomitym fachowcem w swojej branży i jak na czasy PRL dobrze zarabiał – jako student miałem własnego małego fiata do dyspozycji, co wtedy stanowiło... raczej rzadkość.

– **I zamiast na dyskoteki dziewczyny podrywać, jeździł Pan tym małym fiatem do tajnych drukarni?**

– Pan się śmieje, ale tak było naprawdę. Młody człowiek z własnym samochodem, w dodatku jeszcze nie namierzony przez służby specjalne – w tamtych czasach dla opozycji stanowił prawdziwy skarb. Z Krzysztofem Łazarskim jeździliśmy na początku do drukarni w Baboszewie za Płońskiem. Stanowiące najbardziej wrażliwy i najstaranniej zakonspirowany element opozycyjnej infrastruktury drukarnie znajdowały się wtedy w paru miejscach, jeździli do nich najbardziej zaufani. Zwracano tylko za benzynę. Dbano też o to, żeby takich osób zbyt nie narażać, bo odtworzenie drukarni zajmowało najwięcej czasu, stąd też jeśli ktoś się tym zajmował – to z reguły już niczym innym. Magazyny mieściły się zwykle w piwnicach. Druga po Baboszewie drukarnia, którą poznałem, zlokalizowana była na Białoleńcu a trzecia w Gaju pod Wyszkowem. Późniejsze losy ludzi, z którymi wtedy współpracowałem ułożyły się rozmaicie, ale nie tylko ja z tej grupy mieszkam teraz w Kanadzie, organizator i drukarz z tamtych lat Adam Karwowski („Smętek”) również – w Vancouver. W parę miesięcy wszedłem do ścisłej, najbardziej zaufanej grupy. Targalski zorganizował też ekipę do dyskusji, nazywaliśmy ją kółkiem rewolucyjnym. W tych debatach uczestniczyli ludzie, o których później było głośno: Marek Safjan...

– **...później przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego.**

...Dorota Safjanowa, Witold Gadomski...

– ...który z kolei w nowej Polsce został posłem Kongresu Liberalno-Demokratycznego kadencji 1991-3 a potem publicystą gospodarczym „Gazety Wyborczej” i autorem biografii Leszka Balcerowicza...

...i wreszcie, Jacek Krauze, Wiesław Sędek. Stanowiliśmy wyselekcjonowane grono. Nie mogliśmy oczywiście przewidzieć wtedy, jakie kariery zrobią w wolnej Polsce uczestnicy naszego kręgu. O doborze dyskutantów decydowało to, że mają wiele do powiedzenia i można im ufać. Spotykaliśmy się dość regularnie co 6 tygodni.

– **Jak przebiegały Wasze dyskusje?**

– Safjan w polemikach często dzielił włos na czworo. Zaś ja byłem wprawdzie typem organizatora, ale nie miałem problemu z utrzymaniem poziomu intelektualnego w tych rozmowach, bo dom rodzinny i mnóstwo przeczytanych lektur zapewniły mi rzetelną podbudowę. Częściej więc przegadywałem innych, niż oni mnie. Powtarzałem już wtedy: - Chcemy rządzić Polską lepszą, niepodległą. Inni zaś skupiali się czasem bardziej na tym, co powinno się zmienić. To istotne, skoro pyta Pan o korzenie późniejszej „Niepodległości” i LDP-N. Konkretna działalność w pionie opozycyjnej techniki pochłaniała jednak więcej mojego czasu niż jakiegokolwiek debaty. Na długo przed Sierpniem na Broniewskiego pod numerem 23a mieliśmy duży punkt dystrybucji. Nazywaliśmy ją Panią Bronią skoro – jak wspominałem – działło się to na Broniewskiego. A na parterze przy wejściu mieszkał ubek. Wiedzieliśmy o tym, ale on o nas nie. Utrzymaliśmy ten punkt pomimo tak uciążliwego sąsiedztwa, nigdy nie wpadł.

Kto to był dowiedziałem się dopiero po wyjściu z więzienia w 86 roku. Okazało się to był śledczy, który prowadził moją sprawę na Rakowieckiej – Ryszard Bieszyński. W wolnej Polsce zrobił karierę w UOP a nawet zdążył się przyłożyć do sprawy szafy płk. Lesiaka i być zamieszany w sprawę zabójstwa gen. Papąły. Do tej pory mam wielką satysfakcję, że przez tyle lat nie wiedział, co robiliśmy pod jego nosem. Takich to fachowców zatrudnił UOP.

– **Profesjonalizacja nastąpiła szybko?**

– Braliśmy 500 egzemplarzy „Głosu”. Stworzyliśmy własną sieć dystrybucji prasy i wydawnictw z którą funkcjonowaliśmy przez lata.

– **Sierpień 1980 zastał Pana przy robocie... opozycyjnej?**

– Jechaliśmy z Wojciechem Arkuszewskim z drukarni spod Wyszkowa do miasta, włączyliśmy radio w samochodzie i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że właśnie podpisano Porozumienia Gdańskie w Sali BHP Stoczni.

– **Czy powstanie legalnej Solidarności wiele zmieniło w Pana działaniu?**

– Cały czas siedziałem w sprawach techniki i kolportażu. Rozwijaliśmy sieć kontaktów. Trzymaliśmy się pewnych zasad. Wiedzieliśmy, że pomimo widocznych zmian w kraju lepiej się policji nie rzucać w oczy. Nie ujawnialiśmy tego, co powinno pozostać w ukryciu.

– **Chyba Pan nie powie, że przewidzieliście, co się zdarzy 13 grudnia 1981?**

– Od pewnego czasu czuliśmy, że wszystko idzie w złą stronę. Od momentu rozbicia przez milicję strajkującej Szkoły Pożarniczej czuć było w opozycji atmosferę klęski. Szykowaliśmy się więc już na czas... po Solidarności. Budowaliśmy zaplecze: gromadziliśmy materiały i kontakty, wzmacnialiśmy sieć dystrybucyjną wydawnictw. Aż przyszedł 13 grudnia 1981 r. Oczywiście terminu ani scenariusza akcji władz nie znaliśmy przedtem, ale na wariant użycia przez nie siły przygotowaliśmy się najlepiej, jak potrafiliśmy.

– **Co robił Pan w pierwszym dniu stanu wojennego?**

– Gdy tylko dowiedziałem się, co się dzieje, poszedłem rano do Targalskiego. Sprawdzić, czy jest. Nie znaliśmy przecież skali zatrzymań. Był w domu. Razem już pojechaliśmy do Huty Warszawa. Dobrze opisał to Targalski w wywiadzie dla Bazy z 1991 roku. Zimą opór w zakładach pracy nie miał szans powodzenia. Stwierdziliśmy, że bitwa została przegrana... i szykujemy się na następną.

– **I wkrótce, ale już w 1982 powstała „Niepodległość”.**

– Nie byłem na zebraniu założycielskim – uczestniczyli w nim piszący, ci, których materiały miały potem wypełnić nową publikację. Pierwszy numer – 7 egzemplarzy - praktycznie napisał na maszynie sam Targalski, ale już miałem udział przy drukowaniu drugiego i we wszystkich kolejnych aż do aresztowania. Nasze środowisko od dawna nie opierało się na improwizacji, tylko inicjowało profesjonalne działania. Dlatego też obowiązywał ścisły podział ról. Targalski zajął się polityką redakcyjną, Tomasz Kołodziejski odpowiadał za organizację i kontakty w terenie, zaś ja kierowałem zapleczem technicznym.

– **Pamięta Pan, kto wtedy zaproponował słowo „Niepodległość” jako tytuł?**

– Zapewne Witold Gadomski podczas pierwszej dyskusji, z racji profilu pisma i przekonań naszej grupy. Nie byliśmy zainteresowani działalnością socjalną, typowo związkową. Przebieg wydarzeń poprzedzających 13 grudnia pokazał, że nie była ona skuteczna. Zaś deklarowanie pracowniczych postulatów w sytuacji, gdy po ulicach jeździły czołgi uznawałem za stratę czasu. W potocznej świadomości Solidarność przegrała, uznaliśmy więc, że stanowiła pewien etap i nadchodzi pora... na Niepodległość. Stąd nazwa naszego pisma.

– **Jak długo udawało się wydawać „Niepodległość”... bez awarii?**

– Dwa i pół roku.

– **Długo.**

– Byłem fachowcem. Znałem się na tej robocie od ponad pięciu lat. Materialną bazę ówczesnej działalności budowaliśmy od dawna. Sprawdziła się w zmienionych realiach stanu wojennego, bo też wcześniej władzy nie ufaliśmy nawet przez chwilę, nie ujawniliśmy niczego, co lepiej, żeby pozostawało tajne.

– **BHP ponad wszystko?**

– Również teraz, gdy w kraju trwa ostry spór między PiS a PO i resztą opozycji, pewne sprawy wydają się oczywiste: na przykład dotyczące bezpieczeństwa Polski. Wtedy w podziemiu po 13 grudnia 1981 r. również nie brakowało swarów ideologicznych. Jednak o sile oddziaływania danego tytułu czy formacji decydowało, ile egzemplarzy są w stanie wydrukować i rozprowadzić współtworzący ją ludzie. A my byliśmy w stanie przygotować 3,5 – 5 tys odbitek w dobrej jakości z jednego kompletu. Taki był limit tego, co da się wydrukować jednocześnie. To maksymalny nakład. Miesięcznik „Niepodległość” miał ok. 40 stron. Tymi 5 tys egz dawało się więc zapakować, wypełnić aż pod sufit małego fiata.

– **Co Was różniło od innych?**

– Wydawaliśmy pismo i zarabialiśmy na sobie. Pismo rozchodziło się w ok. 100 stałych punktach. Kto nie zapłacił – ten po raz drugi już „Niepodległości” nie otrzymał. Niezależni finansowo dzięki przyjęciu takich właśnie zasad, staliśmy na solidnym gruncie.

– **I wtedy zrodził się pomysł powołania partii?**

– Wspominałem o działającym od lat „kółku rewolucyjnym”, ale konsultacje przeprowadziliśmy szerzej, w gronie odbiorców pisma. W 1983 r. rozpro-

wadzaliśmy pierwsze nasze założenia programowe. Staraliśmy się, żeby tymi samymi kanałami wracały do nas z komentarzami czytelników. Nie działaliśmy przecież w próżni. Wprost przeciwnie – w trudnej wciąż sytuacji w 1983 r. właśnie zwiększyliśmy nakład do 10 tys egzemplarzy bo pracowały dla nas już dwie drukarnie. Tonę papieru przerabialiśmy co miesiąc. Kupiliśmy żuka – większy samochód, przeznaczony wyłącznie do przewozu bibuły. Wspieraliśmy grupy w terenie. Dotarli do nas studenci z Krakowa, przekazali sygnał, że rwą się do roboty, ale bazy żadnej jeszcze nie mają. Wspomagaliśmy ich. Wysłaliśmy instruktora, żeby im uruchomili najprostszą drukarnię na sicie. Oczywiście ich finansowaliśmy.

– W 1984 r. jako rozpolitykowany dziewiętnastolatek otrzymałem po raz pierwszy w pakiecie docierających do mnie wydawnictw niezależnych numer „Niepodległości”. Pismo zwracało uwagę stanowczością wobec reżimu – wywodzące się ze stanu wojennego władze uznawało za okupacyjne, zamiast oczekiwać zmian w ZSRR – głosiło potrzebę wspólnej walki zniewolonych przez komunizm narodów. I tworzenia partii politycznych w Polsce...

– To, że dostał Pan wtedy nasze pismo w pakiecie podstawowych dla opozycji tytułów – cieszy mnie, ale nie zaskakuje. Wypracowaliśmy swoją pozycję. Niezależni byliśmy naprawdę. Nasze pieniądze wypracowaliśmy sami, 95-98 proc wpływów pochodziło z działalności wydawniczej. Okazjonalnie ludzie dobrej woli wpłacali na naszą rzecz drobne kwoty, raz mogło to być 50 dolarów, raz sto, chociaż zdarzało się, że mniejsze datki też do nas wpływały i też je przyjmowaliśmy. Drukarze byli płatni na *full time*, za benzynę oczywiście też zwracaliśmy. Byłem szefem organizacyjnym – techniki i zaplecza, ale do czasu w miarę potrzeb również drukarzem. Po raz ostatni własnoręcznie drukowałem „Niepodległość” w 1983 r. Mieliliśmy wtedy drukarnię w Michałowicach, również pod Nieporętem i pod Kampinosem – działającą najdłużej i największą. Regularne spotkania kierownictwa odbywały się raz w tygodniu. Dysponowaliśmy 4-5 lokalami, w których się spotykaliśmy.

– Zawodowymi rewolucjonistami jednak nie byliście w tym sensie, że nie żyliście cały czas w podziemiu, jak Bujak czy Frasyński. Prowadząc utajnioną działalność wydawniczą, kolporterską i polityczną pracowali-

ście równocześnie w legalnych instytucjach, nawet kartki na mięso pobieraliście?

– Każdy z nas formalnie pracował na oficjalnym etacie. Wtedy byłem zatrudniony w przedsiębiorstwie budowlanym jako kierownik budowy. Większość czasu zajmowało mi jednak konspirowanie. Przybierało różne formy. W 1983 r. udałem się przez zieloną granicę do Niemiec i w ten sam sposób stamtąd wróciłem.

– **W jaki sposób? Tajemniczo to brzmi... W 1984 jechałem jako stypendysta pociągiem do Paryża. Pamiętam zasięki na stacji Berlin-Friedrichstrasse i przeciągłe nocne wycie setek psów enerdowskich pograniczników, którego słuchaliśmy w oczekiwaniu na kontrolę paszportową i celną.**

– Graniczne realia były takie, jak Pan wspomina, ale dawało się je obejść. Wy pływało się na rejs krajowy – oficjalnie. A jak się już było na morzu, to się płynęło, gdzie chciało. Z Gdańska do Szczecina przez Szwecję... To był jeden z głównych kanałów przerzutowych. Ale też w związku z nim wpadłem rok później. Wcześniej jednak, w 1983 r. w naszym środowisku nastąpiły istotne zmiany. Jerzy Targalski wyjechał do Francji na leczenie. Zastąpił go Norman Pieniążek, syn powszechnie znanego profesora nauk rolniczych, specjalisty od ogrodnictwa. Wraz z Normanem dołączył też Adam Chajewski, który objął rolę sekretarza redakcji. Praktycznie funkcje Redaktora. Przejął koordynację prac politycznych, a pion organizacji i techniki pozostawały bez zmian. Dojrzała w nas potrzeba czegoś nowego. Wiele rozmów o polityce toczyłem z Witoldem Gadomskim, który mieszkał wtedy na Powstańców Śląskich. Niezależnie od harmonogramu spotkań organizacyjnych widywaliśmy się i wypytaliśmy wzajemnie, co chcemy robić.

– **Zrodziła się potrzeba czegoś więcej niż Solidarność?**

– Nie czegoś więcej – czegoś innego. Solidarność okazała się w naszym przekonaniu nieudanym narzędziem wyzwolenia. Pisaliśmy otwarcie, dlaczego tak się stało. Spełniła swoją rolę. Nie stanowiła jedynej tradycji, do której się odwoływaliśmy. Gdy później w Komitecie Wykonawczym ustalaliśmy generalną linię, nazwa nawiązywała do tradycji Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS-Frakcji Rewolucyjnej, z naszej strony stanowiło to świadomą stylizację w uznaniu zasług tamtej formacji dla odzyskania przez Polskę niepodległości.

W odróżnieniu od wielu innych sił ówczesnej opozycji, uważaliśmy, że żadne insurekcje nie mają sensu. Trzeba się skoncentrować na pracy u podstaw. Przekuć umysły. Ludzie byli dla nas cenni. Stąd wziął się zakaz brania udziału w demonstracjach ulicznych dla osób uczestniczących w naszej działalności. Uważaliśmy bowiem, że ta forma oporu tylko mnoży straty. Póki pozostawałem na wolności, przeciwdziałiałem skutecznie bezsensownym działaniom.

– **Jak to się stało, że znalazł się Pan za kratami, pomimo profesjonalizmu działań, który z uzasadnioną dumą Pan podkreśla?**

– Przyczyną aresztowania okazała się denuncjacja i prowokacja. Wokół jednej z drukarni kręcił się TW Róża, zbierał informacje, których bezpieka długo na szczęście nie potrafiła powiązać w jedną całość. Ale do mojego aresztowania przyczyniła się także druga, osobna operacja, już nie bezpieki, tylko służb wojskowych. Gdy organizowałem przerzut sprzętu ze Szwecji – podstawili prowokatora o pseudonimie TW „Boro”. Jego prawdziwej tożsamości do dziś nie udało się odcyfrować. Aresztowano mnie w sierpniu 1984 r.

– **Otrzymał pan wysoki wyrok.**

– Na początku było to dwa i pół roku, potem po apelacji prokuratora dołożono mi jeszcze rok w kolejnej instancji. Sprawa długo się ciągnęła. Prawie rok spędziłem na Rakowieckiej, potem miesiąc w więzieniu w Łęczycy. Od lipca 1985 resztę czasu, jaki pozostał do amnestii w 1986 r – w Barczewie.

– **Trudno nie nazwać Pana założycielem Liberalno-Demokratycznej Partii Niepodległość, skoro sam Pan opowiadał, jak poprzez swoje kanały organizował Pan dyskusję nad jej programem, w podziemiu przecież niełatwą: odbiorcy bibuły przesyłali swoje uwagi do przygotowanych przez środowisko Niepodległości tez. Jednak paradoks sprawi, że gdy powstanie Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość” – Pan jest za kratami?**

– Jesienią 1984 r. koledzy powołali Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość, moim zdaniem przedwcześnie, ale siedziałem już wtedy na Rakowieckiej, więc tam nie przysługiwało mi prawo konsultowania tej decyzji. Selekcja liderów odbywała się w specyficzny sposób, charakterystyczny dla podziemnej organizacji. Norman Pieniążek w 1985 r. wyjechał na dwutygodniową konferencję do Hiszpanii, zawodowo zajmował się genetyką molekularną. W tym czasie SB wpadła do niego. Nie mógł więc już z tej Hiszpanii wrócić

z oczywistych powodów. W marcu 1985 r. aresztowani zostali Zofia Słowikowska i Tomek Kołodziejcki, główni organizatorzy kolporterów i kontaktów terenowych. Nagle okazało się więc, że całe nasze środowisko musi się odnaleźć w zmienionej sytuacji bez dotychczasowych liderów: Targalski we Francji, Pieniążek w USA, a ja w więzieniu. Wspominałem już, że dopóki działałem na wolności – starałem się przeciwdziałać bezsensownym akcjom, narażającym nas na straty. Jednak gdy byłem już w więzieniu, wśród tych, co pozostali, pojawił się pomysł, żeby na 1 maja 86 rzucić jakieś gazowe granaty w pochód oficjalny w Krakowie. Efekt okazał się równie mierny jak sam koncept. Wykonawcy akcji mieli rozrzucić granaty gazowe, ale nie zdążyli, bo milicja wyłapała ich wcześniej. Pomysły tego typu służyły dorabianiu nam przez przeciwnika gęby nierozumnych radykałów czy wręcz terrorystów. Przekonałem się o tym w więzieniu w Barczewie. Specjalnie wtedy zniesiono mi do celi telewizor, żebym zobaczył propagandowy program na temat tamtej nieudanej akcji. Wiosną 1986 r. ci podejrzani kajali się w telewizji. Akcje tego typu nie miały sensu. Czuliśmy pismo nosem. Wiedzieliśmy, ile się zmienia. I że za chwilę będą potrzebne głosy wyborców, a tych nie zdobędzie się rzucaniem granatów gazowych.

– Kto przejmuję ster „Niepodległości”, gdy założyciele znajdują się w więzieniu lub na emigracji?

– Na wolności pozostaje Tomasz Dangel, który ze swoją grupą przeprowadza *coup d'etat*. Wchodzi w ostry konflikt z pionem politycznym. Z jego liderami, którzy widzieli w nim postać raczej intelektualnie drugorzędną. Rozwód nastąpił na wiosnę 1986 r. Chociaż próbowano jeszcze jakiś mediacji.

– Mamy kolejny paradoks: na wolności narasta spór w środowisku, a Pan siedzi w Barczewie. To ciężkie więzienie dla politycznych.

– Zdarzyło mi się siedzieć w celi generalskiej, nazywanej tak, bo jej poprzednim lokatorem był dawny gauleiter Prus Wschodnich Erich Koch, znany zbrodniarz hitlerowski.

– Kim byli Pańscy towarzysze z celi?

– W Barczewie najdłużej w celi siedzieliśmy we dwóch: Bogdan Lis i ja. Po wyjściu Lisa siedziałem z Michnikiem a potem kilka dni z ks. Zychem.

– Jakimi współwięźniami okazali się Michnik i Lis?

– Bogdan Lis to typowy działacz robotniczy, rzadziej pojawiały się u niego głębsze myśli, za to ciekawie rozmawiało się z nim... o rybach. Pasjonował się tym, świetnie opowiadał. Nie brakowało mu z pewnością wielkiej ambicji, to ona popychała go do działania, chociaż nie miał mocnych podstaw edukacji. Dwóch moich współwięźniów reprezentowało niewątpliwie dwa różne ludzkie charaktery. Adam Michnik palił mnóstwo papierosów, a poza tym... trzeba powiedzieć, że porządek i schludność nie były nigdy jego najmocniejszą stroną. Ale intelektualnie rozmowy z nim okazały się niezwykle inspirujące. Ucieszyłem się od razu, że właśnie jego mam za współtowarzysza celi, bo od dawna chciałem go osobiście poznać. Znali się z dawnych lat z Targalskim. Zaś moje kontakty w celi z Adamem Michnikiem były na tyle dobre, że gdy już wyszliśmy na wolność po amnestii z września 1986 r – zaprosił mnie na urodziny.

– Jakie były okoliczności tego zaproszenia?

– Urodziny nie odbywały się w mieszkaniu Michnika. Zorganizował je w domu wynajmowanym przez „New York Timesa” korespondent tej amerykańskiej redakcji Michael Kaufman. Jego ojciec był w dawnej komunistycznej jaczejce z Szechterem, ojcem Adama. Kaufman dysponował dwustumetrowym domem na Mokotowie. Adam Michnik sam do mnie zadzwonił: - Stasiu, przyjdź.

– Kogo Pan zastał na miejscu, gdy już z zaproszenia skorzystał?

– Zjazd celebrytów... Tam spotkali się wszyscy, ze Stanisławem Stommą czy Jerzym Turowiczem na czele. A ze strony prawicowej... byłem jedyny. Michnik znajdował się już wtedy na etapie dogadywania się z komunistami. Do budowanej przez niego konstrukcji brakowało mu tylko komponentu prawicowo-niepodległościowego. Nie mógł w tym kręgu znaleźć nikogo, kto zgodzi się z jego koncepcją. Michnik po prostu szukał partnerów po prawej stronie.

– Urodziny nie były waszym ostatnim spotkaniem?

– Michnik przyjechał do mnie w październiku 1986 r. na całodzienną rozmowę. Nie przesadzam, gadaliśmy od godziny 10 do 18, obiadek przy okazji zjedliśmy. Szukałem partnera, jak już zaznaczałem. W trakcie spotkania Michnik napisał kartkę do Jurka Targalskiego i mi ją wręczył. Proponował rodzaj rozejmu. Zaś ja w swoim komentarzu do tej propozycji napisałem Jurkowi własne zdanie: „Brać co dają. Nie kwitować. W tej chwili nie mamy nic”. Wie-

działem, że w sensie politycznym Michnik potrzebuje niepodległościowców. Położył więc ofertę na stole. Targalski tę ofertę odrzucił z obrzydzeniem. Zaś ja uważałem, że jest ona dobra, że nie dysponując już własną znaczącą siłą można negocjować, żeby uzyskać więcej. Potrzebowałem jednak do tego wsparcia środowiska. Odrzucenie oferty Michnika przesądziło z pewnością o dalszych losach „Niepodległości”.

– **Ofertę odrzucono, ale poznał Pan nowe środowisko. A jak odnalazł Pan własne? Co Pan zastaje, wychodząc z więzienia?**

– Niestety tylko ruinę. Czasy się zmieniły, ale wielu tego zupełnie nie rozumiało.

– **Jak widział Pan spór w środowisku „Niepodległości” po wyjściu z więzienia?**

– Konflikt dwudziestolatków z trzydziestolatkami, starły się dwa pokolenia. Reprezentuję rocznik 1953, studia skończyłem w 1978 r, w 1980 r się ożeniłem. Pierwsze dziecko urodziło mi się w 1983 r, ale niestety zmarło, żona długo leżała w szpitalu. To był dla mnie niezmiernie trudny okres, bo w 1984 r. zmarł mój ojciec, który bardzo mi pomagał. Gdy mnie zamknięto w sierpniu 1984 r. żona była w zaawansowanej ciąży. Syn urodził się w dwa tygodnie po moim aresztowaniu.

– **Doświadczenia tych, co przyszli po was były mniej dramatyczne, a metody... mniej wysublimowane?**

– Mówiłem wtedy oponentom: zróbcie lepiej coś własnego, nie pasożytujcie na tym, co stworzyli inni przed wami. Domagałem się przestrzegania zasad. Rozwód w polityce nie jest problemem, powtarzałem, zakładajcie własną organizację. Niech nie dzieje się to w ten sposób, że kradniecie nasz dorobek. Ale oni to właśnie robili.

– **Nie posłuchali Pana?**

– Już po moim wyjściu z więzienia – chociaż próbowałem mitygować – ukazał się numer „Niepodległości” – podróbka po prostu. Dangel to robił z gronem swoich współpracowników. Szybko zwinęli żagle. Zapalu wystarczyło im na niecały rok. Przestrzegałem, że zmieniające się czasy wymagają nowych metod politycznych. Ale oni kierowali się głównie własnymi aspiracjami. Nie rozumieli, że jeśli się robi głupie rzeczy – to się za to płaci. W efekcie na jesie-

ni 1986 r. były dwie „Niepodległości”. Oryginalną ciągnęli Witek Gadomski, Adam Chajewski i Maria Słowikowska. Krytykowałem na jej łamach inicjatywy dynamitardów, musiałem to robić pod nazwiskiem, bo byłem rozpoznawalny. Zaś z tymi nowymi z czasem przestałem rozmawiać, bo uznałem, że przyczynili się do zniszczenia dzieła mojego życia. Przez pewien czas uczestniczyłem jeszcze wraz z Tadeuszem Stańskim w politycznej reprezentacji środowisk opozycyjnych, jako przedstawiciel „Niepodległości”. Musi Pan pamiętać, że mój status w opozycji się zmienił – wyszedłem z więzienia, więc byłem zdekonspirowany, stąd udział w jawnej strukturze.

– **Zdecydował się Pan na emigrację do Kanady.**

– Z moim życiorysem mogłem wyjechać dokądkolwiek. Późniejsze losy ludzi ze środowiska „Niepodległości” pokazują, jak wartościowym materiałem ludzkim dysponowaliśmy. Marek Safjan zrobił błyskotliwą karierę prawnika, Jurek Targalski zasiadał we władzach Polskiego Radia, Witek Gadomski pozostaje niewątpliwie jednym z czołowych publicystów ekonomicznych. Norman Pieniążek jest moim kolegą na emigracji, pracował w Atlancie jako mikrobiolog: zajmuje się pasożytami, odnosił sukcesy. Sam zrobiłem błyskotliwą karierę w Kanadzie, będąc ekspertem od budowy kopalń i zakładów przetwórczych soli i nawozów potasowych. Bez fałszywej skromności oceniam, że takich jak ja specjalistów jest w tej branży w świecie może pięciu. Gdybym wyjechał dziesięć lat wcześniej, pewnie miałbym na koncie milion albo dwa więcej. Syn Maciej, który urodził się dwa tygodnie po moim aresztowaniu w 1984 r – jest profesorem ekonomii na Harvardzie. Mieszkam w Saskatoon, do kraju przyjeżdżam regularnie. W tym tygodniu byłem w Narodowym Banku Polskim na konferencji o programach ekonomicznych dawnych antykomunistycznych ugrupowań z lat 80. Spoglądam na zegarek, bo za pół godziny jestem umówiony z Jurkiem Targalskim. Może jeszcze z kimś z dawnej Niepodległości uda mi się spotkać podczas parodniowego pobytu w Polsce...